



FENOMENALNY
THRILLER
PSYCHOLOGICZNY

MICHELLE RICHMOND

I ŻE CIĘ NIE OPUSZCZĘ

Ta książka nie pozwoli ci zmrzyć oka przez całą noc:
zaczynasz wątpić w każdego, kogo kiedykolwiek kochałeś.

LISA GARDNER

autorka bestsellerów „New York Timesa”



MICHELLE RICHMOND

I ŻE CIĘ
NIE OPUSZCZĘ

TŁUMACZENIE MARIA SMULEWSKA



OTWARTE
KRAKÓW 2018

Tytuł oryginału: *The Marriage Pact*

Copyright © 2017 by Michelle Richmond

Copyright © for the translation by Maria Smulewska-Dziadosz

Wydawca prowadzący: Olga Orzel-Wargskog

Redaktor prowadzący: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Małgorzata Poździk / d2d.pl

Korekta: Ewa Polańska / d2d.pl, Anna Woś / d2d.pl

Lamanie: Agnieszka Fryszak / d2d.pl

Adaptacja okładki oryginalnej: Eliza Luty

Fotografie na okładce: dłonie za szybą – © 123foto / E+ / Getty Images,
przedarta kartka – TextureFabrik.com

Fotografia autorki: Nick Elliott

ISBN 978-83-7515-459-7



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Kevinowi

ROZDZIAŁ 1

Odzyskuję przytomność w małym samolocie. Turbulencje. Głowa mi pęka. Zaschnięta krew na koszuli. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło. Patrzę na dłonie, niemal pewien, że zobaczę kajdanki, ale nie. Tylko zwykły pas bezpieczeństwa. Kto mnie zapiął? Nie pamiętam nawet, kiedy wsiadłem do samolotu.

Przez otwarte drzwi do kokpitu dostrzegam tył głowy pilota. Oprócz nas dwóch nikogo tu nie ma. W górach pod nami widać śnieg, wiatr smaga samolot. Pilot wygląda na bardzo spiętego, skoncentrowanego na sterowaniu.

Podnoszę rękę, dotykam głowy. Krew zaschła, został lepki strup. Burczy mi w brzuchu. Nic nie jadłem od tamtego francuskiego tostu. Ile czasu minęło od śniadania? Na fotelu obok widzę wodę i kanapkę zapakowaną w papier śniadaniowy. Otwieram butelkę i piję.

Odwijam papier, odgryzam kęs kanapki. Z szynką i serem. Jasna cholera – szczeka boli tak bardzo, że nie mogę żuć. Gdy uderzyłem w ziemię, ktoś najwidoczniej strzelił mnie jeszcze po głębie.

– Lecimy do domu? – pytam pilota.

– Zależy, co nazywasz domem. Lecimy na lotnisko Half Moon Bay.

- Nic ci o mnie nie powiedzieli?
- Imię i dokąd odstawić. Ja tu tylko robię za taksówkarza, Jake.
- Ale jesteś przecież członkiem, tak?
- Jasne. - Jego ton jest nieodgadniony. - Małżonkowi wierność, Paktowi lojalność. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Odwraca się na moment, ale to wystarczy, by posłać mi spojrzenie sugerujące, że o nic więcej mam nie pytać.

Nagle szarpnięcie tak mocne, że kanapka leci przez pół samolotu. Niepokojące pikanie w kabinie pilota. Mężczyzna przeklina i rozpaczliwie naciska różne guziki. Krzyczy coś do kontroli ruchu lotniczego. Raptem bardzo ostro schodzimy w dół, zaciskam ręce na fotelu, myślę o Alice, o naszej ostatniej rozmowie. Żałuję, że nie powiedziałem jej tylu rzeczy.

Potem wszystko nagle się uspokaja, znów się wznosimy, chyba wszystko jest w porządku. Zbieram kawałki kanapki z podłogi, zawijam je z powrotem w papier i odkładam na fotel obok.

- Przepraszam za turbulencje - odzywa się pilot.
- Nie twoja wina. Nieźle sobie poradziłeś.

Nad słonecznym Sacramento w końcu facet wydaje się mniej spięty. Rozmawiamy nawet o koszykówce, o tym, jak zaskakująco dobrze radzą sobie w tym sezonie Golden State Warriors.

- Jaki dziś dzień tygodnia? - pytam.
- Wtorek.

Z ulgą patrzę na znajomą linię brzegową, cieszę się na widok małego lotniska. Lądujemy gładko. Gdy już jesteśmy na ziemi, pilot odwraca się i mówi:

- Tylko żeby ci to nie weszło w nawyk, okej?
- Ani mi to w głowie.

Biorę torbę i wychodzę z samolotu. Pilot nawet nie wyłącza silnika, tylko od razu zamyka drzwi, zawraca i startuje.

Wchodzę do kafejki, zamawiam gorącą czekoladę i wysyłam esemesa do Alice. Jest czternasta, środek tygodnia, na pewno ma tysiące spotkań na głowie. Ale muszę się z nią zobaczyć.

Natychmiast odpowiada:

„Gdzie jesteście?”

„Już na lotnisku”.

„Wychodzę za 5 minut”.

Od jej biura na lotnisko jest dobrze ponad trzydzieści kilometrów. Pisze mi jeszcze, że utknęła w korku, zamawiam więc olbrzymie śniadanie.

W kafejce jest pusto. Po sali krząta się dziarska kelnerka w idealnie wyprasowanym uniformie. Kiedy płacę, mówi:

– Milego dnia, przyjacielu.

Wychodzę na dwór i siadam na ławce, żeby poczekać. Jest zimno, falami nadciąga mgła. Gdy wreszcie widzę starego jaguara Alice, jestem już zziębnięty na kość. Wstaję i sprawdzam, czy mam wszystko. Alice podchodzi do ławki. Ma na sobie poważną garsonkę, ale na nogach adidas zamiast szpilek. Jej czarne włosy są wilgotne od mgły. Szminkę ma ciemnoczerwoną i zastanawiam się, czy umalowała się tak dla mnie. Mam nadzieję.

Staje na palcach, żeby mnie pocałować. Dopiero wtedy dociera do mnie, jak bardzo za nią tęskniłem. Potem robi krok w tył i lustruje mnie od stóp do głów.

– Przynajmniej wróciłeś w jednym kawałku. – Delikatnie dotyka mojej szczęki. – Co się stało?

– W sumie nie wiem.

Otulam ją ramionami.

– A dlaczego cię wezwali?

Tak wiele chciałbym jej powiedzieć, ale się boję. Im więcej się dowie, tym niebezpieczniejsze to dla niej będzie. A poza tym – powiedzmy sobie szczerze – kiedy pozna prawdę, wkurzy się na mnie okropnie.

Co ja bym dał, żeby cofnąć czas – do chwili sprzed ślubu, sprzed Finnegana, sprzed Paktu, który wywrócił nasze życie do góry nogami.

ROZDZIAŁ 2

Prawdę mówiąc, ślub to był mój pomysł. Może nie miejsce, jedzenie, muzyka i wszystkie te inne rzeczy, które Alice tak świetnie umiała organizować. Ale sam pomysł był mój. Znałem ją od trzech i pół roku. Chciałem z nią być i małżeństwo wydawało mi się najlepszym sposobem, żeby jej nie stracić.

Alice nie miała dotąd najlepszych wyników, jeśli chodzi o stałość. Jeszcze niedawno była dzika, impulsywna i zdarzało jej się rzucać na ulotne błyskotki. Bałem się, że jeśli będę zwlekał, po prostu mi się wymknie. Tak naprawdę ślub miał być tylko sposobem na stałość uczuć.

Oświadczyłem się jej w pewien pogodny styczniowy wtorek. Właśnie zmarł jej ojciec, pojechaliśmy więc do Alabamy. Był jej ostatnim żyjącym krewnym, a jego nagła śmierć ogromnie nią wstrząsnęła. Przez kilka dni po pogrzebie opróżnialiśmy dom jej dzieciństwa, który znajdował się na przedmieściach Birmingham. Cały ranek przedzieraliśmy się przez pudła na strychu, w biurze i garażu. Dom wypełniały przedmioty z życia jej rodziny: pamiątki po wojskowej karierze jej ojca, bejsbolowych wyczynach jej nieżyjącego brata, książki kucharskie zmarłej matki, wyblakłe zdjęcia dziadków. Przypominało to

skarb znaleziony przez archeologów, odkrycie jakiegoś małego, zupełnie zapomnianego plemienia zaginionej cywilizacji.

– Już tylko ja zostałam – powiedziała bez żalości w głosie. Po prostu stwierdziła fakt.

Jej matka zmarła na raka, brat popełnił samobójstwo. Ona przeżyła, ale nie bez szwanku. Z perspektywy czasu widzę, że to, iż była jedynym żyjącym członkiem rodziny, skłaniało ją do większej gotowości na miłość i ryzyko. Nie wiem, czy przyjęłaby moje oświadczenia, gdyby nie fakt, że została sama na świecie.

Zamówiłem pierścienek zaręczynowy już kilka tygodni wcześniej. Kurier UPS-u przyniósł go tuż po tym, jak dowiedziała się o śmierci ojca. Właściwie nie wiem, dlaczego wsunąłem pudełko do torby, gdy wychodziliśmy z domu na samolot.

Dwa tygodnie po przyjeździe do Alabamy zadzwoniliśmy do agenta nieruchomości i poprosiliśmy, żeby przyszedł wycenić dom. Chodziliśmy z nim po pokojach, a on notował z przejęciem, jakby przygotowywał się do jakiegoś egzaminu. W końcu wyszliśmy razem na werandę i tam czekaliśmy, co powie.

– Na pewno chcą państwo sprzedać ten dom? – upewnił się agent.

– Tak – potwierdziła Alice.

– Chodzi tylko o to, że... – Wskazał na nas ręką, w której trzymał notes. – A nie woleliby państwo zostać? Pobrać się. Mieć dzieci. Ułożyć sobie tu życie. Przydałoby się nam tu parę nowych rodzin. Moje dzieci tak się nudzą. Syn musi grać w nogę, bo nie mamy dość dzieciaków, żeby się zebrało na drużynę bejsbolową.

– Hm – mruknęła Alice, patrząc znacząco na ulicę. – To chyba nie dla nas.

To wystarczyło. Facet natychmiast wrócił do trybu agenta. Zasugerował nam cenę, a Alice powiedziała, że wystawimy dom nieco taniej.

– Ale to by było poniżej wartości rynkowej w tej okolicy – zaoponował ze zdziwieniem.

– Nie szkodzi. Chcę to już mieć za sobą – wyjaśniła Alice.
Znów coś sobie zanotował.

– To mi zdecydowanie ułatwi zadanie.

Kilka godzin później podjechała ciężarówka, chłopaki wyskoczyły i z domu zniknęły stare meble i sprzęty. Zostały tylko dwa leżaki przy basenie, który się nie zmienił, odkąd został wybudowany w 1974 roku.

Rankiem następnego dnia kolejna ciężarówka przywiozła kolejną ekipę, przyslaną przez pośrednika w celu podrasowania wnętrza. Do domu wniesiono zupełnie nowy zestaw mebli. Ludzie z agencji poruszali się szybko i pewnie. Na ścianach powiesili duże abstrakcyjne obrazy, na półkach rozłożyli małe lśniące bibeloty. Gdy skończyli, budynek był niby ten sam, a jednak zupełnie inny – czystszy, mniej napakowany, bo zupełnie wolny od tych wszystkich uprzykrzonych drobiazgów, w których kryje się dusza domu.

Dzień później przez dom przetoczyła się parada agentów nieruchomości ze stadkami potencjalnych nabywców. Szepotali, otwierali szafy i szafki, analizowali listę ze szczegółowymi danymi nieruchomości. Tego samego dnia po południu agent zadzwonił do nas z czterema ofertami i Alice wybrała tę z najwyższą ceną. Spakowaliśmy się i zarezerwowałem bilet na lot powrotny do San Francisco.

Wieczorem, gdy pojawiły się gwiazdy, Alice wyszła na dwór pogapić się na ciemne niebo i pożegnać z Alabamą już na zawsze. Noc była ciepła, zza płotu docierał do nas zapach grilla. Lampy ogrodowe odbijały się pięknie w basenie, a leżaki zdawały się równie wygodne jak wtedy, gdy ojciec Alice zatargał je na to patio, kiedy jeszcze jego żona była piękna i opalona, a dzieci małe i hałaśliwe. Czulem, że Alabama naprawdę chce nas zachwycić, a jednak Alice była smutna, jakby obojętna na to piękno, które nas tu tak zaskoczyło.

Później opowiadałem naszym znajomym, że pomyśl, aby wykorzystać ten moment na oświadczyzny, przyszedł spontanicznie.

Że chciałem Alice jakoś pocieszyć. Pokazać jej, że jest przed nami przyszłość. Chciałem wnieść trochę radości w ten smutny dzień.

Stałem przy basenie, klęknąłem, wyciągnąłem pierścionek z pudełka i podałem go jej spoconą dłonią. Nic nie powiedziałem. Spojrzała na mnie, na pierścionek i się uśmiechnęła.

– Okej – rzuciła.

ROZDZIAŁ 3

Pobraliśmy się na łąkach nad rzeką Russian, dwie godziny jazdy samochodem na północ od San Francisco. Kilka miesięcy wcześniej wybraliśmy się tam rzucić okiem na to miejsce. Najpierw kilka razy je minęliśmy, bo zjazd był kiepsko oznaczony. Kiedy w końcu otworzyliśmy bramkę i weszliśmy na ścieżkę prowadzącą do rzeki, Alice przytuliła mnie i powiedziała:

– Tu jest po prostu idealnie!

W pierwszej chwili myślałem, że żartuje. Miejscami trawa miała z półtora metra wysokości.

Posiadłość była wielka, taka wijąca się farma z krowami pałętającymi się po pastwisku. Należała do gitarzystki z pierwszego zespołu Alice. Tak, Alice grała kiedyś w zespole i pewnie nawet słyszeliście ich kawalki, ale o tym jeszcze opowiem.

Dzień przed ślubem znów udało mi się przejechać odpowiedni zjazd. Ale tym razem dlatego, że wszystko tu się kompletnie zmieniło. Jane – ta gitarzystka – przez całe tygodnie kosiła i przycinała. Pastwisko wyglądało nadzwyczajnie. Jak najlepsze na świecie pole golfowe. Porośnięte idealnym trawnikiem wzgórze, z którego schodziło się wprost nad rzekę. Jane powiedziała, że były z żoną zachwycone, że nadarzył się taki wspólny projekt do wykonania.

Przygotowały już wielki namiot, patio, basen i nowoczesny domek nad basenem. Nad samym brzegiem rzeki stała scena, a na szczycie wzgórza altanka. Wokół wciąż powoli przechadzały się krowy, jakby medytując.

Wniesiono krzesła, stoły, sprzęt, głośniki, parasole. Alice nie przepadała za ślubami, ale uwielbiała przyjęcia. Nie urządziliśmy jeszcze żadnego razem, ale słyszałem wiele opowieści o wspaniałych imprezach na plażach, w jej mieszkaniach, a nawet salach balowych. Wyglądało na to, że ma do tego smykałkę. Kiedy więc przeszliśmy do etapu organizacji, po prostu zdałem się na nią. Miesiące planowania, wszystko idealnie dopracowane.

Dwustu gości. Miało być stu moich i stu jej, ale w końcu jakoś nie do końca wyszło po równo. Lista była dość zabawna, jak to na ślubach. Moi rodzice, babcia, szefowie Alice, moi współpracownicy z kliniki, w której niegdyś pracowałem, byli klienci, znajomi ze studiów, starzy kumple Alice z kręgów muzycznych, miszmasz innych.

A do tego Liam Finnegan z żoną.

Ich zaprosiliśmy na samym końcu, na liście widnieli jako goście numer 201 i 202. Alice poznała Liama trzy dni przed ślubem w kancelarii, w której od roku pracowała dosłownie dzień i noc. Tak, wiem, to dziwne, ale moja żona jest prawniczką. Gdybyście ją znali, też byście się zdziwili. O tym też wam jeszcze więcej opowiem, ale później. W każdym razie Finnegan, a raczej Finneganowie, Liam i Fiona, byli gośćmi numer 201 i 202.

Moja żona pracowała wtedy właśnie nad sprawą Finnegana. Kwestia praw autorskich. Finnegan był teraz biznesmenem, ale wiele lat wcześniej był frontmanem pewnej irlandzkiej folkowo-rockowej grupy. Nawet jeśli nigdy nie słyszeliście ich utworów, to z pewnością obilo się wam o uszy jego nazwisko. Wciąż się pojawia w tych wszystkich brytyjskich magazynach muzycznych – „Q”, „Uncut”, „Mojo”. Mnóstwo muzyków twierdzi, że miał na nich ogromny wpływ.

Kiedy Alice dostała tę sprawę, całe dni słuchaliśmy w kółko albumów Finnegana. Sprawa była dość prosta – jak na prawo autorskie w każdym razie. Jakiś młody zespół ukradł mu kawałek piosenki i zrobił z tego wielki hit. Jeśli jak ja nie rozumiecie technicznych zawiloci muzyki, w życiu byście nie zauważyli podobieństwa, ale Alice mówi, że dla muzyka kradzież była oczywista.

Sprawa wyniknęła z tego, że kilka lat wcześniej Finnegan powiedział w wywiadzie, że ten przebój wydaje mu się podejrzanie podobny do pewnej piosenki z jego drugiego albumu. Nie zamierzał nawet nic z tym robić, ale menedżer tego nowego zespołu wysłał mu zaraz list z żądaniem przeprosin i publicznej deklaracji, że nie doszło do żadnej kradzieży. Potem wszystko samo się potoczyło, a moja żona pracowała teraz miliony godzin nad swoją pierwszą dużą sprawą.

Alice była w swojej kancelarii tylko szarym pracownikiem, więc kiedy w końcu Finnegan wygrał, oczywiście to właścicielom firmy przypisano wszelkie zasługi. Miesiąc później, czyli tydzień przed naszym ślubem, do firmy przyszedł Finnegan. Przyznano mu jakieś bająnskie odszkodowanie, o wiele większe, niż chciał, a z pewnością większe, niż potrzebował, i postanowił podziękować wszystkim za ciężką pracę.

Szefowie kancelarii zaprowadzili go do sali konferencyjnej i długo raczyli bajkami o swojej genialnej strategii. Na koniec podziękował im, a potem spytał, czy mógłby się teraz spotkać z ludźmi, którzy naprawdę pracowali nad tą sprawą. Zacytował kilka fragmentów z jakichś akt i wniosków, zaskakując wszystkich uwagą, z jaką śledził szczegóły sprawy.

Wyjątkowo spodobało mu się streszczenie sprawy, które napisała Alice. Było zabawne i twórcze, to jest o ile prawnicze teksty mogą być zabawne lub twórcze. Tak więc szefowie kancelarii musieli zawołać Alice. Potem ktoś wspomniał o tym, że w weekend Alice wychodzi za mąż. Finnegan rzucił, że uwielbia śluby. Na co Alice zażartowała:

– To proszę przyjść na mój.

A on zaskoczył wszystkich, mówiąc:

– Będę zaszczycony.

Gdy już wychodził, przystanął jeszcze przy boksie Alice, a ona dała mu zaproszenie.

Dwa dni później w drzwiach naszego mieszkania stanął kurier z paczką. Przyszło już wtedy kilka prezentów, więc nie byliśmy zdziwieni kolejnym. Tym razem nadawcą byli Finneganowie. Otworzyłem kopertę. W środku była złożona biała kartka z obrazkiem tortu. Gustownie.

Drodzy Alice i Jake'u!

Przyjmijcie, proszę, moje najszczęśliwsze gratulacje z okazji zbliżających się zaślubin.

Szanujcie małżeństwo, a szczerze Was obdarzy.

Liam

Prezenty, które dotąd dostaliśmy, nie były specjalnie zaskakujące. Jest takie równanie, które pozwalało mi dość skutecznie przewidzieć zawartość prawie każdej paczki. Koszt prezentu ślubnego równa się: dochody netto darczyńcy razy liczba lat, które się znamy, razy pi. Czy coś takiego. Babcia kupiła nam komplet zastawy porcelanowej na sześć osób. Moja kuzynka podarowała nam toster.

Ale w przypadku Finnegana nie wiedziałem, jak mam szacować. Był zamożnym biznesmenem, właśnie wygrał dużą sprawę, a do tego miał obszerny katalog piosenek, które pewnie nie przynosiły dużego zysku. I nie znaliśmy go zbyt długo. Dobra, w ogóle go nie znaliśmy.

Z ciekawości od razu otworzyłem paczkę. W środku była duża, ciężka drewniana skrzynia z wypalonym na wieku napisem. W pierwszej chwili uznałem, że to jakaś superelitarna, ręcznie produkowana irlandzka whisky, co właściwie miałyby sens. Dokładnie by pasowało do mojego równania.

Ogarnął mnie niepokój. Nie bez powodu nie trzymaliśmy w domu żadnego mocniejszego alkoholu. Już wyjaśniam. Poznaliśmy się z Alice na odwyku, w zakładzie znajdującym się na północ od Sonomy. Od kilku lat zajmowałem się już wtedy terapią i rzucałem się na każdą okazję, by nauczyć się czegoś więcej. Zastępowałem wtedy znajomego, przy okazji zdobywając nowe doświadczenie. Drugiego dnia prowadziłem terapię grupową. W grupie była Alice. Powiedziała, że za dużo pije i że musi przestać. Nie na zawsze, uściśliła, ale na tyle długo, żeby móc przeprowadzić zmiany, które są niezbędne, by jej życie się ustabilizowało. Wyjaśniła, że nigdy przedtem nie piła wiele, ale przez ciąg nieszczęść w rodzinie zaczęła się zachowywać nieodpowiedzialnie i że chce odzyskać kontrolę nad sytuacją. Zachwyciły mnie jej jasność myślenia i determinacja.

Kilka tygodni później, gdy już byłem z powrotem w mieście, postanowiłem do niej zadzwonić. Prowadziłem zajęcia dla młodzieży z podobnymi problemami i pomyślałem, że byłoby fantastycznie, gdyby zgodziła się przyjść i z nimi pogadać. Miała talent do opowiadania o swoich problemach tak, że od razu trafiała w sedno sprawy, była bezpośrednia, zajmująca. Chciałem jakoś dotrzeć do tych młodych ludzi, a wiedziałem, że jej na pewno wysłuchają. Tym bardziej że Alice była przecież muzykiem. W znoszonej kurtce motocyklowej, z ostrzyżonymi na krótko czarnymi włosami i z tymi wszystkimi opowieściami o życiu w trasie naprawdę prezentowała się bardzo cool.

Tak w skrócie: zgodziła się porozmawiać z moimi podopiecznymi, wszystko dobrze poszło, zaprosiłem ją na lunch, minęły miesiące, zaczęliśmy się umawiać, kupiliśmy wspólnie mieszkanie, a potem, jak już wicie, oświadczyłem się.

I dlatego właśnie, gdy otworzyłem paczkę od Finnegana, zamarłem na myśl, że to z pewnością butelka jakiegoś niesamowicie rzadkiego trunku. Przez pierwsze kilka miesięcy naszej znajomości Alice nie tykała alkoholu. Potem po jakimś czasie wypijała z rzadka butelkę piwa czy lampkę wina do kolacji.

Nie jest to typowe dla osób z problemami alkoholowymi, ale wyglądało na to, że w przypadku Alice się sprawdza. Ale tylko piwo i wino. Sama żartowała, że kiedy na stole pojawia się cokolwiek mocniejszego, to zawsze ktoś potem ląduje w kiciu. Choć trudno było to sobie wyobrazić, bo nie wiem, czy znam kogoś, kto by tak zawsze panował nad sytuacją jak Alice.

Odłożyłem podarek na stół. Bardzo elegancka, drewniana skrzynka.

Choć napis zdawał się nieco bez sensu.

PAKT

Ale żeby whisky nazywała się Pakt?

Uniosłem wieko. Wyłożone było niebieskim aksamitem i zawierało kolejne drewniane pudełko. Po obu jego stronach na aksamicie spoczywały pióra – wyglądały na niepokojąco drogie, może ze srebra, albo nawet białego złota lub platyny. Wyciągnąłem jedno, zafascynowany jego ciężarem, misternym wykonaniem. Typowy prezent dla kogoś, kto ma już wszystko. Czyli raczej nie dla nas. Pracowaliśmy ciężko i nieźle sobie radziliśmy, ale z pewnością nie należeliśmy do tych, którzy mają wszystko.

Nawet podarowałem Alice pióro z okazji zakończenia studiów prawniczych. Było naprawdę piękne i kupiłem je u małego szwajcarskiego sprzedawcy. Przedtem dobre kilka miesięcy analizowałem ten zaskakująco skomplikowany rynek eleganckich przyrządów do pisania. Zupełnie jakbym otworzył drzwi, myśląc, że za nimi jest szafa, a tam odkrył nagle cały wszechświat. Postarałem się tak za nie zapłacić, żeby Alice nie zauważyła, ile kosztowało. Nie chciałem, żeby poczuła ciężar straty, gdyby kiedyś przypadkiem je zgubiła.

Patrzyłem chwilę na pióro od Finnegana. Potem zacząłem bazgrać jakieś kółka na papierze do pakowania, a potem jeszcze słowa „Dziękuję, Liamie Finneganie!“. Atrament płynął gładko, pióro sunęło z wdziękiem po papierze.

Coś było na nim wygrawerowane.

Litery były takie małe, że nie mogłem ich odczytać. Przypomniałem sobie, że mam przecież szkło powiększające, było dołączone do gry planszowej. Alice kupiła mi ją pod choinkę. Poszperałem w szafie w korytarzu. Za pudłami z Rzykiem, Monopoly i Boggle znalazłem grę od Alice. Szkło powiększające jeszcze było opakowane w folię. Przysunąłem pióro do światła i spojrzałem przez szkło.

„Alice & Jake”, a potem data ślubu i jeszcze po prostu: „Duncans Mills, Kalifornia”.

Muszę przyznać, że mnie to trochę rozczarowało. Nie tego się spodziewałem po jednej z największych żyjących gwiazd folk rocka. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w tych kilku literkach ujął cały sens życia czy coś.

Wyciągnąłem drugie pióro i też odłożyłem na stół. Potem wyjąłem mniejsze pudełko. Zrobione było z takiego samego drewna, z jakimiś fikuśnymi wykończeniami i tym samym logo wypalonym na wieku: Pakt. Było dość ciężkie.

Chciałem je otworzyć, lecz było zamknięte na klucz. Odłożyłem je więc na stół i zacząłem szukać klucza. Ale w skrzyni go nie było, na dnie leżała tylko karteczka z odręcznie napisaną notką:

„Alice i Jake’u! Wiedźcie jedno, Pakt nigdy Was nie opuści”.

Gapilem się na nią przez chwilę. Co to miało znaczyć?

Alice musiała pozalać jeszcze mnóstwo rzeczy w pracy przed weselem i naszą podróżą poślubną, a kiedy w końcu wróciła do domu, mieliśmy do obgadania milion drobiazgów, zupełnie więc zapomniałem o prezencie od Finneganów.

ROZDZIAŁ 4

Zwykle już po pierwszych pięciu minutach wie się, jak będzie wyglądał dany ślub. Jeśli ludzie przyjeżdżają z lekkim opóźnieniem i ruszają się jak muchy w smole, wiadomo, że to będzie męczarnia. Na nasz ślub wszyscy stawili się nadzwyczaj wcześnie. Mój drużba Angelo Foti i jego żona Tami przyjechali z miasta za wcześnie, więc, żeby jakoś zabić czas, zaszli do kawiarni w Guerneville. Tam zauważyli kilka innych par w zbyt eleganckich ubraniach. Zagadali z nimi i z tego, co mi wiadomo, impreza zaczęła się już wtedy.

Krewni, znajomi, nerwy i w ogóle – wszystko to sprawiło, że dopiero gdy już rozpoczęła się ceremonia, dotarło do mnie, że Finnegan też przyjechał. Patrzyłem na pięknie ubraną Alice, która szła sama, szła do mnie, i wtedy ponad jej ramieniem mignął mi Finnegan. Stał gdzieś z tyłu. W nienagannym garniturze i różowym krawacie. Przy nim stała z pięć lat młodsza kobieta w zielonej sukni. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że się uśmiechają, jakby naprawdę się cieszyli, że są tu z nami. Założyłem chyba, że Finneganowie pojawią się tylko z grzeczności, przyjadą późno, wyjdą wcześnie, ot, zmuszą się z uprzejmości do tego, żeby zaszczyścić swą obecnością ślubu prawniczki, nic poza tym. Ale wcale to tak nie wyglądało.

Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem, ale teraz już wiem. Na ślubie, jeśli dobrze się przyjrzysz, od razu dojrzysz osoby szczęśliwe w małżeństwie. Może chodzi o to, że każdy kolejny ślub znajomych stanowi potwierdzenie ich wyboru, a może to po prostu wypływa z ich wiary w instytucję małżeństwa. W każdym razie każde z nich ma taką charakterystyczną minę, którą dość łatwo wyłapać, choć trudno mi ją opisać. I Finneganowie mieli właśnie takie miny. Nim wróciłem wzrokiem do Alice – tak pięknej w białej sukni bez rękawów i kapelusiku retro – Finnegan pochwycił moje spojrzenie, uśmiechnął się i uniósł rękę, jakby wznosił toast.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko. Przysięga, obrączka, pocałunek. Kilka minut później byliśmy już mężem i żoną, a wesele rozkręciło się w mgnieniu oka. Wpadłem w wir rozmów z przyjaciółmi, krewnymi, kolegami z pracy, kumplami ze studiów, a wszyscy oni w kółko opowiadali swoje wersje mojego życia, często w złej kolejności, ale zawsze w pozytywnym świetle. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, znów zobaczyłem Finneganana. Stał przy scenie, patrząc, jak znajomi muzycy Alice przechodzą przez dość eklektyczny repertuar. Przed nim stała żona, przytulał ją, otoczywszy rękoma w pasie. Na ramiona miała zarzuconą jego marynarkę, bo robiło się chłodno. Twarze obojga wyrażały spokojne zadowolenie.

Zgubiłem gdzieś Alice, szukałem jej więc teraz w tłumie. W końcu zorientowałem się, że stoi na scenie. Nigdy dotąd przy mnie nie występowała, zupełnie jakby tę część siebie zostawiła w poprzednim życiu. Teraz światła były zgaszone, ale mimo ciemności widziałem, jak macha na przyjaciół, woła ich na scenę. Byli Jane i ich stary perkusista, a do tego znajomy z kancelarii z gitarą basową i jeszcze parę innych osób. Grupa ludzi, których dobrze nie znałem, części to właściwie w ogóle nigdy nie widziałem na oczy. Ich obecność była jak symbol całego tego życia, jakie miała przede mną, ważnej części jej osobowości, do której w pewnym sensie nie miałem dostępu.

Gdy zobaczyłem ją tam, na scenie, poczułem smutek i ekscytację jednocześnie. Smutek, bo mimo wszystko czułem się trochę odrzucony i nieważny. Ale jednocześnie było w tym coś radosnego, bo przecież Alice stanowiła dla mnie tajemnicę, w tym najlepszym tego słowa znaczeniu. Alice wyciągnęła rękę w stronę Finneganana. Światło zrobiło się niebieskawe i dotarło do mnie, że to dlatego, że gdy w stronę sceny ruszył Finnegan, wszyscy zaczęli po cichu wyciągać komórki i nagrywać.

Alice stała tak bardzo długą chwilę. Głosy ucichły, wszyscy czekali. W końcu podeszła do mikrofonu.

– Moi drodzy – powiedziała. – Dziękuję wam, że jesteście tu dziś z nami.

Potem wskazała na mnie i rozległ się cichy dźwięk organów. To Finnegan już szalał na klawiszach. Grał naprawdę pięknie, a jego tęskna melodia wciągała kolejne instrumenty. Alice stała, kiwała się lekko w rytm muzyki i patrzyła na mnie. Zapaliły się światła, a Finnegan przeszedł w melodię, którą rozpoznałem natychmiast. Była to stara piosenka Led Zeppelin, ta subtelna, ale wchodząca do głowy, idealna melodia na ślub, *All My Love*. Alice śpiewała – z początku cicho, jakby niepewnie, ale potem jej głos stał się głośniejszy. Jakimś cudem byli z Finneganem idealnie zgrani.

Muzyka nabrała mocy, a Alice weszła w krąg światła, zamknęła oczy i powtórzyła piękny refren, takie proste wyznaczenie, i wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że tak, ona mnie naprawdę kocha. Rozejrzałem się po namiocie i w słabym świetle ujrzałem twarze zasłuchanych przyjaciół i krewnych, kołyszących się w rytm melodii.

Potem nastrój piosenki nieco się zmienił, bo Alice zaśpiewała ten kluczowy wers, o którym zupełnie zapomniałem, proste pytanie, ale jednak zupełnie zmieniające wydźwięk całego utworu, pokrywające go cienką warstwą dwuznaczności, wątpliwości. Przez chwilę poczułem się zupełnie dezorientowany. Chwyciłem się krzesła, rozejrzałem wokół. Wszystko zalewała

księżycowa poświata – tłum, pastwiska, krowy śpiące na łące, rzekę. Z boku sceny zobaczyłem żonę Finneganą w zielonej sukience. Tańczyła z zamkniętymi oczami, zasluchana.

Impreza ciągnęła się potem wiele godzin. O świcie jeszcze siedzieliśmy z kilkorgiem gości nad basenem i patrzyliśmy na wschód słońca nad rzeką. My z Alice zajmowaliśmy jeden leżak, Finneganowie drugi.

W końcu Finneganowie zabrali płaszcz i buty i ruszyli do wyjścia.

– Odprowadzimy was – zaproponowała Alice.

Gdy tak szliśmy razem, miałem wrażenie, że znamy się od lat. Dopiero kiedy wsiadali do lamborghini, którym przyjechali – pożyczonego od znajomego, jak wyjaśnił Finnegan, puszczając do nas oko – przypomniałem sobie o prezencie.

– A! – zawołałem. – Zupełnie zapomniałem wam podziękować. Mieliśmy przecież pogadać o tym intrygującym prezencie od was.

– Oczywiście – odpowiedział Finnegan. – Wszystko w swoim czasie. – Jego żona się uśmiechnęła. – Jutro wracamy do Irlandii, ale odezwę się do was, kiedy wrócicie z podróży poślubnej.

I tyle. Potem jeszcze dwa tygodnie w zupełnie opuszczonym, ale niegdyś wspaniałym hotelu nad Adriatykiem, długi lot do domu i nagle znów byliśmy tam, gdzie przedtem – wszystko tak samo, tylko że teraz byliśmy małżeństwem.

Czy to koniec, czy dopiero początek?

ROZDZIAŁ 5

Po powrocie z miesiąca miodowego obydwójce bardzo się sturaliśmy nie dopuścić do rozczarowania szarą rzeczywistością, o które tak łatwo po wspaniałej imprezie i kilku tygodniach na spokojnej, słonecznej plaży. Pierwszego wieczoru w naszym małym domku w San Francisco – zaledwie dziesięć przecznic od krawędzi kontynentu i najmniej słonecznej plaży na świecie – wyciągnąłem zastawę od babci i przygotowałem czterodaniowy obiad z eleganckimi serwetkami i świecami. Mieszkaliśmy razem już ponad dwa lata, a chciałem, żeby teraz po ślubie było jakoś inaczej.

W internecie znalazłem przepis na pieczeń z ziemniakami. Rezultaty były oplakane – gęsta, brązowa katastrofa mięsna. Ale moja kochana Alice zjadła całą porcję i oświadczyła, że było pyszne. Choć jest bardzo drobna – metr sześćdziesiąt pięć, i to na obcasach – naprawdę potrafi docenić dobry posiłek. Zawsze mi się to w niej podobało. Na szczęście mój honor kucharza uratował deser – babka z czekoladową polewą. Następnego wieczoru spróbowałem innego przepisu. Tym razem poszło mi lepiej.

– Czy ja się może za bardzo staram? – spytałem kontrolnie.

– Utuczyć mnie? Niewykluczone – mruknęła Alice, maczając nóżkę kurczaka w ziemniaczanym purée.

A potem jakoś wróciliśmy do starych zwyczajów. Znowu zamawialiśmy pizzę z kielbasą albo inne fast foody i wcinaliśmy je przed telewizorem. I właśnie gdy oglądaliśmy ciurkiem cały sezon *Życia po przedszkolu*, zawibrowała komórka Alice.

Alice spojrzała na telefon.

– E-mail od Finnegana – powiedziała.

– Co pisze?

– „Jeszcze raz dziękuję, że zaprosiliście nas na Wasze zaślubiny – przeczytała na głos. – Uwielbiamy piękne śluby i wzruszające przyjęcia. Byliśmy zaszczyceni, mogąc być z Wami w ten wyjątkowy dzień”.

– To miłe.

– „Fiona mówi, że tak bardzo przypominacie jej nas sprzed dwudziestu lat – ciągnęła Alice. – Nalega, byście przyjechali do nas na lato”.

– O – zdziwiłem się. – Wygląda na to, że naprawdę chcą się zaprzyjaźnić.

– „Wracając do prezentu. Pakt to coś, co otrzymaliśmy z Fioną z okazji naszego ślubu. Paczkę znaleźliśmy na schodach w pewien deszczowy poniedziałkowy poranek. Dopiero dwa tygodnie później dowiedzieliśmy się, że dostaliśmy ją od mojego nauczyciela gitary z dzieciństwa, pewnego staruszka z Belfastu”.

– Oddali nam stary prezent? – spytałem zaskoczony.

– Nie – powiedziała Alice. – Chyba nie o to chodzi. – Znowu spojrzała na komórkę i czytała dalej: – „Był to najlepszy podarunek, jaki z Fioną otrzymaliśmy. Prawdę powiedziawszy, jedyny, który właściwie zapamiętałem. Przez te wszystkie lata przekazaliśmy Pakt kilku innym nowożeńcom. Powinienem może od razu Was uprzedzić, że nie jest to coś dla każdego, ale choć znam Was tak krótko, czuję, że dla Was będzie idealny. Czy mogę w związku z tym zadać Wam kilka pytań?”.

Alice szybko odpisała mu, że tak.

Popatrzyła na telefon.

Bzz.

– „Wybaczcie śmiałość – znów przeczytała na głos – ale czy chcielibyście, by Wasze małżeństwo było na zawsze? Tak czy nie? Musicie odpowiedzieć zgodnie z prawdą”.

Alice spojrzała na mnie nieco zaskoczona, chwilę się zawa-
hała, ale potem napisała: „Tak”.

Znów bzyczenie komórki.

Moja żona wyglądała na coraz bardziej zaintrygowaną, jak-
by Finnegan prowadził ją w jakąś ciemną uliczkę.

„Czy wierzycie, że każde długie małżeństwo przeżywa za-
również okresy szczęścia i smutku, jasności i ciemności?”

„Oczywiście”.

Bzz.

„Czy obydwoje jesteście gotowi pracować nad tym, żeby Wa-
sze małżeństwo było na zawsze?”

– Też pytanie – mruknąłem.

Alice odpisała.

Bzz.

„Czy ktoś z Was ma zwyczaj się łatwo poddawać?”

„Nie”.

„Czy obydwoje jesteście otwarci na nowości? Czy jesteście
gotowi przyjąć pomoc przyjaciół, jeśli oferują ją z myślą o Wa-
szym szczęściu i małżeństwie?”

Trochę mętne. Alice popatrzyła na mnie.

– Co myślisz? – spytała.

– Jeśli o mnie chodzi, to tak – powiedziałem.

– Dobra, to ja też jestem za – stwierdziła i odpisała.

Bzz.

„Doskonale. Macie czas w sobotę przed południem?”

Podniosła wzrok.

– Mamy?

– Jasne – powiedziałem.

„Tak – napisała. – Jesteście może w San Francisco?”

„Niestety jestem teraz w studiu pod Dublinem, ale złożę Wam
wizytę moja przyjaciółka Vivian, która opowie Wam o Pakcie.

Będę zaszczycony, jeśli zdecydujecie się dołączyć do naszej wyjątkowej grupy. Czy dziesiąta rano Wam odpowiada?”

Alice rzuciła jeszcze okiem na kalendarz w komórce, a potem znów napisała: „Tak”.

Bzz.

„Doskonale. Jestem pewien, że przypadniecie sobie z Vivian do gustu”.

Czekaliśmy jeszcze chwilę, ale nie dostaliśmy już więcej wiadomości. Gapiliśmy się tępo w komórkę, ale nie zabzyczała.

– Czy to ci się nie wydaje nieco... przekombinowane? – spytałem w końcu.

– Co nam szkodzi spróbować? – odparła Alice z uśmiechem.

ROZDZIAŁ 6

Parę słów o mnie. Pracuję jako psycholog i terapeuta. Choć miałem kochających rodziców i – w każdym razie na pozór – sielankowe dzieciństwo, dorastanie bywało dla mnie niełatwe. Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że nie wybrałem tej kariery – to ona wybrała mnie.

Na Uniwersytet Kalifornijski, kampus Los Angeles, czyli tak zwane UCLA, trafiłem jako student biologii, ale przyszłość związałem z czymś innym. Już na początku drugiego roku zacząłem pracować jako tak zwany doradca rówieśniczy. Szkolenia szalenie mi się podobały, praca jeszcze bardziej. Lubilem rozmawiać z ludźmi, słuchać o ich problemach, pomagać w znalezieniu rozwiązania. Kiedy skończyłem studia, nie chciałem, by moja „kariera” doradcy zakończyła się wraz z opuszczeniem uniwersytetu, poszedłem więc jeszcze na psychologię, tym razem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Po doktoracie wylądowałem na stażu w San Francisco. Tu zacząłem pracować z młodzieżą z grupy ryzyka.

Dziś prowadzę niewielką poradnię terapeutyczną. Założyliśmy ją z przyjaciółmi, których poznałem podczas tego właśnie stażu. Kiedy zaczynaliśmy osiemnaście miesięcy temu w starym warsztacie napraw odkurzaczy, baliśmy się, że nic z tego

nie będzie. Braliśmy nawet pod uwagę możliwość, że będziemy na boku sprzedawać kawę i moje słynne ciasteczka z czekoladą, żeby w ogóle było na czynsz.

W końcu jednak okazało się, że nasza przychodnia radzi sobie bez desperackich rozwiązań. Obydwoje moi partnerzy – Evelyn (lat trzydzieści osiem, samotna, superinteligentna, jedynaczka z Oregonu) oraz Ian (Anglik, czterdzieści dwa lata, także samotny, gej, najstarszy brat z trojga rodzeństwa) – są ciekawymi, sympatycznymi i ogólnie szczęśliwymi ludźmi. I chyba ta ich radość życia jakoś popchnęła nasz interes do przodu.

Każde z nas zajmuje się swoją specjalizacją. Evelyn skupia się na uzależnieniach, Ian koncentruje się na zarządzaniu złością u dorosłych oraz zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych, a ja pracuję z dziećmi i młodzieżą. Pacjenci, którzy w jasny sposób podlegają którejś z tych kategorii, zostają przypisani jednemu z nas. Resztą dzielimy się po równo. Chociaż ostatnio postanowiliśmy rozszerzyć działalność o jeszcze jedną specjalizację. A raczej Evelyn postanowiła. Po powrocie z podróży poślubnej zaskoczyło mnie odkrycie, że już mi zaplanowała kompletnie dla mnie nowe terapie małżeńskie.

– Ze względu na moje nadzwyczajne doświadczenie w tej dziedzinie, jak rozumiem?

– Otóż to.

Evelyn, nasz geniusz marketingowy, zdążyła mi już załatwić trzech nowych klientów. Kiedy zaprotestowałem, pokazała mi bardzo uczciwe e-maile, w których uprzedziła pacjentów, że mam kilka lat doświadczenia w terapii i dokładnie dwa tygodnie osobistego doświadczenia w małżeństwie.

Nie znoszę być nieprzygotowany, kiedy więc Evelyn wyskoczyła z tymi nowinkami, natychmiast przeszedłem w tryb „panika” i rzuciłem się do czytania wszystkiego, co mi wpadło do rąk. Przeczytałem o historii małżeństwa w ogóle i ze zdumieniem odkryłem, że małżeństwo monogamiczne pojawiło się w społecznościach zachodnich zaledwie osiemset lat temu.

Odkryłem też, że osoby zamężne i żonate żyją dłużej niż osoby stanu wolnego. Ten faktoid obił mi się kiedyś o uszy, ale nigdy dotąd nie przyjrzałem się tym badaniom. Są dość przekonujące.

Ale przecież Groucho Marx powiedział: „Małżeństwo to wspaniała instytucja, tylko kto by chciał żyć w instytucji?”.

Spisałem sobie też różne inne cytaty z internetu i całej półki książek o małżeństwie, które wykupiłem z księgarni przy moim biurze.

„Udane małżeństwo to takie, w którym zakochujesz się wiele razy – zawsze w tej samej osobie”.

„Nie przytłaczajcie się nawzajem. Nic nie rośnie w cieniu”.

Tego typu rzeczy. Może i cytaty to prymitywne zagranie, ostatnia deska ratunku dyletanta, ale jednak podczas sesji lubię mieć parę pod ręką. Zdarza się przecież, że nie wiem, co powiedzieć, i wtedy są jak znalazł. Mądrości Groucho Marksa mogą przełamać lody, wyprowadzić nas na jakieś nowe terytorium albo po prostu dać mi chwilę na zebranie myśli.

Zawsze odbieraj telefon od małżonka.
Regularnie obdarowujcie się prezentami.
Kilka razy w roku wyjedźcie gdzieś razem.
Nikommu nie wspominajcie o Pakcie.

Alice i Jake to młode kochające się małżeństwo. Alice odnosi sukcesy jako prawniczka, Jake jest terapeutą i współwłaścicielem poradni psychologicznej. Przed nimi wspólne życie pełne planów. W prezencie ślubnym od prominentnego klienta Alice nowożeńcy otrzymują zaproszenie do elitarnego klubu dla małżeństw, który działa pod nazwą Pakt. Jego celem jest wspieranie par w staraniach o szczęśliwy i trwały związek. Nerozerwalny. Za wszelką cenę...

Jak daleko się posuną, aby ochronić swoje małżeństwo?

E-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-459-7



Cena detal. 39,90 zł


WYDAWNICTWO
OTWARTE